

ZIMA.

Śnieg już pada,
 I biada
 Łąk i gajów zieleni!
 Życia krasa
 Zagasa
 Na obliczu jesieni.
 I jak z trwogi
 Żłowrogiej
 Bładość lice człowieka,
 Tak szron biały
 Świat cały
 W barwę śmierci obleka.
 Na tron z lodu,
 Z bram wschodu,
 Nasrożona, surowa,
 Ze snu łoża,
 Z dna morza,
 Weszła zimy królowa.
 Brylantowy,
 Lodowy
 Wachlarz w dłonie ujęła,
 I wkrąg głami,
 Wichrami,
 Mrok i zamieć wionęła.
 Okiem mroźnem
 I groźnem

Wręcz się starła ze słońcem;
 Słońce zbladło,
 W dół spadło,
 Dzień zgasiło przed końcem.

Tak u szczytu
 Błękitu,
 Wzrokiem sępa rażone
 Z górnych szlaków,
 W głąb krzaków
 Spada ptaszę spłoszone.

Ziemia cała
 Strętwiała,
 Jak tchem dreszczu przed zgonem;
 Drzewa z zioły
 Wespoły
 Gnąc się mdleją pod szronem.

Ptaszki leśne
 W bolesne
 Ledwie tony świergocą,
 Jakby niemi
 Nad ziemi
 Współbolejąc niemocą:

Co w zimowem,
 Grobowem
 Skrępowana spowiciu,
 W letarg wpadła,
 I zbladła
 Śni już tylko o życiu.

Lecz nad śpiącą,
 Marzącą,
 Niebios anioł i córa,
 Z woli Pana
 Wybrana,
 Czuwa matka-Natura.

I jak matka
 Ostatka
 Sił nie szczędząc—tem czulej,
 Zatrwożona
 Do łona
 Chore dziecię swe tuli.

Nie w jej mocy
Z niemocy
Ziemię wskrzesić przedwcześnie,
Lecz złagodzi,
Oslodzi
Sen i mary jej we śnie.

Szron, co drzewa
Odziewa,
W blask roziskrzy promieni,
I śnieg skrzepły,
W puch ciepły
Dla ziarn kwiatów przemieni.

I dorazu,
Od płazu,
Do podniebnych lataczy,
Żyjącemu
Każdemu
Szlak ratunku wyznaczy.

W loch zamyka
Królika,
W puszczech uśpi niedźwiedzie
W szyki sprawi
Żórawi,
I za morza powiedzie.

Chóry ptaków,
Śpiewaków,
Uczy dumać w tęsknocie,
Jak tem głośniejsz,
Radośniejsz.
Wiosnę witać w powrocie.

O! i ludzie
W tym cudzie
Przykład mają wiek z wieka,
Jak i niemi
Na ziemi
Boża rządzi opieka.

Obyż wspoły
Z żywioły,
W ciężkich zimach swej doli,
Równie znali,
Słuchali
Bożych natchnień i woli!

I czy wiosna
Radosna
Wróci duszy uśmiechy,
Cześć dziękczynną,
Dziecinną,
Nieśli Ojcu pociechy

Czy na wieczne
Słoneczne
Życie idąc z niebiany,
Nieustanną
Hosanną
Czcili Pana nad Pany!

Bronisława.

List z Warszawy.

Kochani współczytelnicy moi! Strach mię bierze na myśl że przemawiam do was, zastępując poniekąd Gołąbkę, na którą przypada coraz więcej zajęć i obowiązków rodzinnych. Nie zrywa ona z wami, i zawsze do was odzywać się będzie, a że poleciła mi już względem waszym, więc choć nie łudzę się nadzieją, że tak jak ona, osiąść potrafię waszą przyjaźń i zaufanie, myślę jednak że okażecie się łaskawymi na nieśmiałość, próbującą lotu ptaszyne. Korespondowałam dawniej z wami pod pseudonimem, którego już teraz wymienić mi nie wolno, a co najzabawniejsza, że korespondowałam z samą Gołąbką. A stało się to tak: ona przechodziła już do rzędu staruszek, ja zaczynałam dopiero odzywać się kiedy niekiedy do Wieczorów, gdy przyszła mi wspaniała myśl korespondowania przez nasze piśmko z nią samą, z tą siostrą, z którą sypialiśmy w jednym pokoju i pracowały nieraz przy tej samej lampie. Zmieniam więc pseudonim, liniuję sobie papier w dwie linie, co samo przez siebie zmienia charakter mego pisma i... wyprawiam list do Gołąbki. ...„Czy zechcesz mi przyjąć i t. d.“? Ona mi odpisuje że „zechce“, a ja korzystając z tego, zaczynam jej zadawać listownie najrozmaitsze pytania. Odpowiada mi na wszystkie sumiennie, szpera nieraz po encyklopediach, podręcznikach, katalogach — a muszę jej oddać tę sprawiedliwość, że nie słyszała ani razu, aby narzekała na przysparzanie jej pracy — aż wreszcie gdy raz, w słotę i zawieruchę wybierała się biedz dowiedzieć o cenę łyżew, którą niby to wiedzieć chciałam, ruszyło me sumienie. Powiedziałam jej tedy: „Daj pokój, Gołąbko, to nic pilnego“. Jakto! nic pilnego? na dziś wieczór muszą być gotowe odpowiedzi! Cóż ja odpowiem M...?“ — Obejdzie się bez odpowiedzi. — Moja droga! — oburzyła się Gołąbka — jak możesz mi namawiać do takiego lekceważenia moich korespondentów!“

— „E! tacy korespondenci...“ — „A to co znowu?“ — surowo już gromiła mię panna siostra. — „Mogą poczekać — kończyłam — jutro, pojutrze powiesz mi ustnie cenę łyżew.“

Ona jeszcze nie domyśla się niczego. — „A cóż przyjdzie z tego M...?“ — pyta — jeżeli ty będziesz wiedziała, ile łyżwy kosztują?“ — „Nie bój się, dowie się i ona... Ach! jakażeś ty niedomyślna! — zawołałam wreszcie, nie mogąc już dłużej wytrzymać — przecież ona i ja... to jedno!“ Myślałam, że się rozgniewa choć trochę (o! ja, byłabym się z pewnością rozgniewała) ale ona roześmiała się tylko serdecznie i nawet nie powiedziała nic mamie, która byłaby z pewnością dała mi burę co się zowie. Przrzekłam jej, że tego nie uczynię powtórnie... i dotrzymałam — tem chętniej, że po namyśle

sama doszłam do przekonania, że był to niemądry figiel, bo wszelki podstęp ma zawsze w sobie coś brzydkiego. Wypowiadałam się wam szczerze... czy was to nie zrazi do mnie? czy nie wydam się wam złą siostrą? Na usprawiedliwienie moje powiem wam, że byłam wtedy dzieckiem roztrzępanem, swawolnem i może trochę zepsutem przywiązaniem Gołąbki do najmłodszej w rodzeństwie siostrzyczki. Teraz, jako niedługo dostąpić mająca godności „staruszek“, jestem znacznie poważniejszą, chociaż... lubię, *bardzo* nawet lubię podokazywać trochę z młodszymi od siebie. Starsi niezawsze chcą: u nas w rodzinie jeden tylko Józio zawsze gotów dotrzymywać mi towarzystwa; Julek i Gołąbka utrzymują swoją powagę, co nam nie przeszkadza kochać się między sobą serdecznie. Gołąbka matkuje mi nawet potrosze i dzięki też opiece starszej siostrzyczki, widziałam podczas świąt różne „gwiazdki“ i „jaselka“ które mam zamiar wam opisać. Zaczęło się to w samą Wigilię od Gwiazdki, która się odbywa w Tow. Dobroczynności dla sierot, kosztem tegoż towarzystwa wychowywanych. Trudno wypowiedzieć radość obdarowanych dziewczątek, wdzięczność malującą się w ich wzroku, słodki uśmiech ich zacnych opiekunek, wszystko jednym słowem, co sprawiło, że widok, na który patrzyłam, rozrzewnił mię do głębi serca i przejął gorącym pragnieniem, abym i ja, w miarę sił moich, umiała drugim przysparzać radości, abym *mogła* dawać i dawać — *umiała*. A dla tego te dwa wyrazy podkreślam, że przekonałam się właśnie naocznie, jak dalece sposób ofiarowywania podarku podnosi jego wartość. Pewna jestem, że dobre słowa upomnienia, rady, serdecznej przestrogi, że pieśczętliwe pogłaskanie ręki wychylającej się z ciemnego rękawa habitu, sprawiły dzieciom tyleż radości co i choinka, a niektórym więcej nawet może. To już pewno od usposobienia zależy — powtarzam za Gołąbką, która temi właśnie słowy odpowiedziała na moje uwagi.

W drugi dzień świąt byliśmy proszeni do jednych państwa, gdzie jest dzieci ośmioro, poczynawszy od rówieśnicy mojej a kończąc na dwuletnim maleństwie. Ciotka ich jest zakonnicą u Wizytek i dia tego to klasztor użył na dni kilka dla uciechy dzieci „Jasełek“, które stanowiły dawniej miłą rozrywkę dla pozostających na święta wychowanek. I żłobek, i Dzieciątko Jezus, i postaci oraz przybory potrzebne do przedstawienia betleemskiej stajenki, wszystko to bardzo jest starożytne — jeżeli nie z Wizytkami tutaj przybyłe, to przynajmniej podług wtedy już posiadanych wzorów dorbiane. Figurki drobne, ale kształtne, Matka Boska wygląda na śliczne, nieśmiałe dziewczętko, dwa ogromne warkocze spuszczone na na plecy, św. Józef z brodą do pasa, wół troszkę wprawdzie chudy i z jednym rogiem nadłamanym, ale z bardzo wyrazistą fizyonomią, a osielek wcale nie głupią na minę: zadumany jakiś i zdziwiony. Są i Trzej Królowie:

jeden czarny, murzyński, drugi śniady i bardzo przystojny, trzeci, widocznie czerwonoskóry, w długim, po ziemi wlokącym się płaszczu z piór. Wyglądają wspaniale! Murzyn przy szpadzie i z maczugą, tamci także mieszanym stylem uzbrojeni, ale całość przedstawia się imponująco, a mama moja która niegdyś pobierała wychowanie u Wizytek, dziś jeszcze wspomina jaki zachwyt wzbudzało w wychowankach doroczne ukazywanie im Jaselek, jak długo przedtem mówiły o nich, jak dawniejsze opowiadały nowo-przybyłym o czekającym je prześlicznym widowisku, jak się niem wszystkie cieszyły. Mnie — jeśli mam prawdę powiedzieć — podobala się daleko więcej Gwiazdka, którą w zamożnym prywatnym domu wyprawiano w wilią N. Roku dla dzieci kilku ubogich rodzin, wspieranych przez panią domu. Drzewko obwieszono figami, jabłkami i piernikami, paliło się na niem mnóstwo świeczek, na gałęziach zaś wisiały karteczki z napisanemi na nich imionami dzieci. Pod imieniem i nazwiskiem stało dodane: ... „dostanie sukienkę” albo „cieplą chusteczkę” i t. p. Które z dzieci umiało czytać, to wyczytawszy odnoszący się do niego napis, tryumfalnie z kartką w ręku szło do osób zajmujących się rozdawaniem odzieży; które nie umiało, to zawsze się znalazł ktoś, kto na głos przeczytał nazwisko i oznajmił dziecku o przeznaczonym dla niego podarku. Do ubrania dołączano, stosownie do wieku i stopnia rozwinięcia, książeczkę, lub elementarz, a oprócz tego zabawkę jaką i paczkę bakalijs. Możecie sobie wyobrazić jaka to była uciecha! a nie wiem doprawdy kto więcej się cieszył, obdarowani czy darujący?

Biedne dzieci! radowały się w chwili, gdy spotykała je bolesna dla nich strata; w tej porze bowiem dogorywał przeznacznym ich opiekun, Dr. Fritsche. Niestrudzoną swoją energią, wprowadził on w czyn projekt kolonij letnich dla dzieci wycieńczonych zaduchem miejskim, i co rok więcej dzieci wysyłał na świeże powietrze, bo co roku wymowniej się stawał w trafianiu do serc ludzkich. Całe szczęście, że ze śmiercią jego nie upadnie dzieło miłosierdzia, bo podejmą je i dalej prowadzić będą ci, którzy już za życia jego pomagali mu w pocziwej pracy. Z nadejściem wiosny, znowu myśleć się zacznie o tych, którzy wiosnę prawdziwą znają tylko ze słyszenia, znowu będziemy ich przypominali pocziwym naszym serduszkom. Może nawet i mnie to uczynić pozwolą — jeżeli znajdzie u was łaskę i zaufanie wasze posiadzie niżej podpisana, która gorąco pragnie pozyskać serca wasze, jako najprzyjaźniej dla was usposobiona

Jaskółka.

NA MORZU.

(O B R A Z E K).

(Dokończenie).

Tomek wychowywał się w domu rodzinnym do lat dwunastu i do owej chwili liczył zawsze wiek swój za najszcześniejszy. Rodzice na posadzie leśnictwa wielkich obszarów, wprawdzie bogatymi nie byli, ale też niedostatek nieznanym był w ich zagrodzie, a dzieci, on i młodsza dziewczynka, Józia, od pierwszych lat nauczani byli zadawałnicą się tem co mieli — i nie pragnąc nic nadto, czuli się szczęśliwymi. Wówczas to chłopczyk, towarzysząc nieraz ojcu w jego objazdach obeznał się najlepiej ze swojską naturą i przywiązał do niej całym sercem. Zimą chodzili razem na zające i sarny, latem na kozły i leśne ptactwo; z matką i siostrą znów, które kochał niezmiernie, uczęszczali do pobliskiego kościółka wśród lasów, gdzie zwykle w niedzielę służył proboszczowi do mszy i wszystkim razem było im ze sobą tak dobrze!.. Przeplatany nauką schodził im czas szybko wiek dzieciństwa, otoczony miłością najbliższych sercu osób i swobodą, cenioną tak bardzo w tych latach, aż spokojny ten tryb życia został zamącony niepowrotnie. Najniespodziewaniej, w 12-ym roku

życia stracił ukochanego ojca. Była to, można powiedzieć, jedyna ciężka i bolesna chwila w jego życiu, a wypadek ten pociągnął za sobą zmiany przeróżne. Jedyny brat zmarłego, mieszkający w Dublinie, zajął się gorliwie losem bratańca i w rok już później Tomek był uczniem szkoły marynarki gdzie za radą stryja został przeznaczony do szukania kariery na morzu. Matka sprzeciwiała się temu z początku, lecz spryt i zdolności chłopca, oraz jego zamiłowanie zwiększające się z każdym rokiem w nowoobranym zawodzie przełamały w końcu jej niechęć. No, a potem już wszystko poszło szybko. W ośmnastym roku skończył szkołę i wstąpiwszy na pokład w roli chłopca okrętowego odbył daleką podróż na wschód, z której powrócił w stopniu pomocnika kapitana, kilka następnych lat przebył jeszcze w tej randze, a w dniu ukończenia 24-eh lat życia został mianowany kapitanem francuskiego handlowego żaglowca, którego zadaniem było przeprowadzać zamiany produktów krajowych na płody poludniowo-wschodniej Afryki. Nadzwyczajna bystrość umysłu, odwaga i energia obok ujmującej powierzchowności jednała młodemu dowódcy serca i przychylną wszystkich niemal napotykanym przezeń ludzi. Zdawało się, że szczęśliwa gwiazda towarzyszyć musiała przyjeździu na świat tego dziecka, tak zwycięsko wychodził on niejednokrotnie z krytycznego położenia i zdradzieckich zamiarów oceanu, a już taką karność i oraz przywiązaniem prawie synowskiem całej załogi, jakie panowały na pokładzie „Neptuna” w istocie rzadko który z kapitanów mógł się poszczycić. To też szybko czas mu upływał zajęty użyteczną działalnością i oto nie spostrzegł się prawie jak sześć lat minęło bez chwili wypoczynku, bez dłuższego wytechnienia między swojemi, bez zajrzenia w rodzinne ustronie stałego łądu, dokąd wiązało go tyle wspomnień...

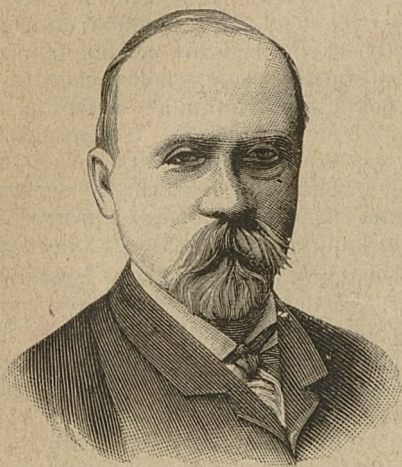
Zajęty nieustanną pracą nawet w końcu i myśleć o tem przestał i ot teraz dopiero list ten świeży, poruszył w nim i cisnął przed oczy wyobraźni cały szereg obrazków tak dobrze mu znanych, tak zawsze drogich. Męski, hartowny jego umysł nie znieczuliła jeszcze zupełnie praca ciężkiego zawodu na te wspomnienia, w głębi serca nie wygasły iskiereki uczuć rzewniejszych. Pozostało w nich jeszcze dość żaru, aby przy sprzyjającym podmuchu zatliły one się na nowo i wybuchnęły wesołym jasnym płomykiem, a ten podmuch właśnie zawitał — teraz, w tej chwili...

— Więc to dziś wieczór świąteczny, to dzisiaj... — powtarzał sobie w myśli młodzieniec. A ponad senną, i znużoną długą walką z rozszalałym żywiołem, jego wyobraźnię, stawały coraz to nowe szeregi wspomnień i coraz nowe obrazy.

— On te święta tak lubił zawsze dawniej!... Pamięta jak dziś, jak to z ojcem chodzili zwykle niby „na szczęście” przed samym wieczorem pod las na zające, gdzie przy stosach z koniczyzną było ich więcej. Śnieg skrzypiał mu pod nogami, lśniący od światła księżycowego, mróz szczypał w policzki... A z jaką to uwagą wyszukiwali śladów na świeżym śniegu. z jaką niecierpliwością!... powracali potem obładowani zawsze zdobyczą, a obiad smakował stokroć lepiej po takim spacerze. Kiedyś, to nawet widział jelenia pod stogami, i widok ten zrobił ogromne na nim wrażenie w swoim czasie. Miał takie wielkie, rozłożyste rogi na których siedzieć by można wybornie. A potem widywał je nieraz, po kilka, a nawet stadami przebiegały latem puszcę. Albo znów jaka przyjemna była zawsze podróż na mszę! przed ganek zajechały wózki zaprzężone siwoszami, od których aż para buchała skoro biegły wyciągniętym kłosem, i wszyscy otuleni ciepło płaszczami, ruszali do kościoła. Droga wiła się wśród lasu, wózki skrzypiały po śniegu, sunąc lekko, co kilkanaście kroków spotykaliśmy wesołe gromadki ludzi dążących w tę samą stronę, a gotyckie okna wiejskiego kościółka zdawały jaśniały tysiącem świec w świecznikach. Pieśni umiał wszystkie na pamięć, a najlepiej lubił najdawniejsze... więc też śpiewał zawsze z największym zapałem i tak serdecznie, ile mu tylko głosu starczyło w dziecinnej piersi...

Albo znów ten zwyczaj robienia „czegoś dobrego”, jak oni go lubili oboje z Józją. W dzisiejszym liście przypomina mu o tem pytając, czy czasem nie zapomniał, ale nie, pamięta

doskonale jak rodzice uczyli ich od dzieciństwa że w wieczór świąteczny każdy człowiek, odmawiając sobie samemu, choćby z najmniejszej rzeczy robić powinien ofiarę czy przyjemność komuś drugiemu, uboższemu. Nazywali to między sobą „czemś dobrem“ ponieważ chodziło o zrobienie innym czegoś dobrego, a z czasem weszło to już tak w zwyczaj że naprzód już obmyślali, i cieszyli się na sposobność wyświadczenia dobrego uczynku. Rodzice w tym wypadku pozostawili im już zupełną swobodę działania, mówiąc, że w tak uroczysty, święty wieczór, na uczczenie go, każdy powinien bliźniemu zrobić coś ze szczerzej woli, coś, co mu podyktuje własne serce. Oni sami wyświadczały zwykle wiele dobrego biednym o których niezapominali nigdy, a zwłaszcza w te święta, a dzieci robiły znów „coś dobrego“ na swój sposób. Kiedyś, malutka Józia bohaterko, bez jednej łezki oddała swą nową lalkę dziewczynce kucharki, widząc że ta jej się niezmiernie podo-



Dr. Fritsche.

bała, a on znów wychodząc z kościoła po mszy zdjął z siebie ładny włóczkowy szalik, który dostał przed kilkoma godzinami i okrył nim drżącego z zimna chłopczykę, prowadzącego niewidomego dziadka. Dopóki był w domu, rzeczywiście ani jednej chwili nie zapomniał o tem nawyknięciu z lat dziecinnych, ale potem... potem, i nie zawsze miał czas myśleć, żeglując po niejednym morzu, że to właśnie wieczór świąteczny ba, nie zawsze nawet o tem wiedział!.. Uczuł nagle jakby rodzaj wyrzutu. Wszak siostra również, dawno już wyszła z dzieciństwa, a przecież i dziś to „coś dobrego“ zaliczała jeszcze prawie do obowiązków uświęconych dawną tradycją, a on?... Spuścił głowę niżej jeszcze na rękę, tak że migotliwe światło lampy oblewało mu jasne falujące kędziory, pozostawiając resztę rysów w półcieniu, ale skoro czasami przy większym wstrząśnięciu promyczek jej przerzucił się poza ową granicę cienia, migotał tam w brylantowej kropelce, oderwanej od fali morskiej, czy też lzy... W kajucie tymczasem było cicho, zdawało się nawet że wycia huraganu stawały się mniej głośnie, uderzenia bałwanów łagodniejsze. W rogu pokoju posuwał się miarowo zegar ścienny pokazując dziesiątą, a posuwające się bez względu na wszystko obojętne zawsze wskazówki, przeszły tak sobie spokojnie w tej ciszy aż do jedenastej. W busolach drgały nerwowo igielki, objawiające tem tylko jakieś życie, a siedzący nieporuszenie w fotelu spał czy też marzył, czy biegł myślą daleko, wciąż dalej... Nagle, jakaś silna dłoń szarpnęła z łoskotem drzwi kajuty i w otworze ukazała się piegowata, zmieniona twarz sternika.

— Kapitanie, toniemy! — zawołał ochryplym głosem — pod pokładem woda!...

W jednej chwili wezwany zerwał się z krzesła. Ruchem jakby chciał odegnać zeń myśli przetarł po czole, wyprostował barczystą swą postać i zwracając na przybyłego wzrok pełen energii i przytomności:

— Do pomp! — krzyknął metalicznym, dźwięcznym głosem, wybiegając na pokład.

— Kapitanie, wszystkie w ruchu oddawna — odparł smutnie stary wilk morski — nie chcieliśmy ci przerywać wypoczynku więc z początku sam wydałem rozkaz pompowania, ale woda wdziera się prędzej nim pozbyć się jej było można. Całe składy już zalala!...

— Wyrzucić paki z towarami! — zawołał na to kapitan z zimną krwią. — Wyrzucić balast! — komenderował dalej, skoro po wypełnieniu pierwszego rozkazu statek nieprzestawał napępniać się od spodu rozszalałym żywiołem.

Ale i to już na wiele się nie przydało. Zagłowiec uszkodzony silnie przez burzę, wyłamanym otworem pił wodę skwapliwiej, i choć w godzinę potem był już wolnym od wszelkiego możliwego ciężaru, jał się zagłębiać coraz bardziej.

— Kapitanie, toniemy! — zawołała jednocześnie cała załoga kiedy po wyczerpaniu wszystkich środków ręce opadały im ze znużenia. — Kapitan nic na to nie odparł, zsunął tylko brwi gęste i zeszedł pod pokład chcąc się przekonać naocznie o sile napływu, ale skoro się ukazał z powrotem był błydy, choć żaden muskuł nie drgał mu na twarzy. Burza uspokoiła się już prawie całkiem, bałwany falowały coraz łagodniej, powierzchnia oceanu wygładzała się stopniowo, ginąc w gęstych mgłach i ciemności.

— Szalupa i łodzie na wodę! — zabrzmiał nagle silny głos komendy.

— Szalupa kapitanie, ma zgnieciony burt padającym wielkim masztem, a z łodzi jest tylko dwie, bo trzecią oderwały z łańcuchów bałwany i poniosły — była odpowiedź.

— A ilu was jest chłopcy?

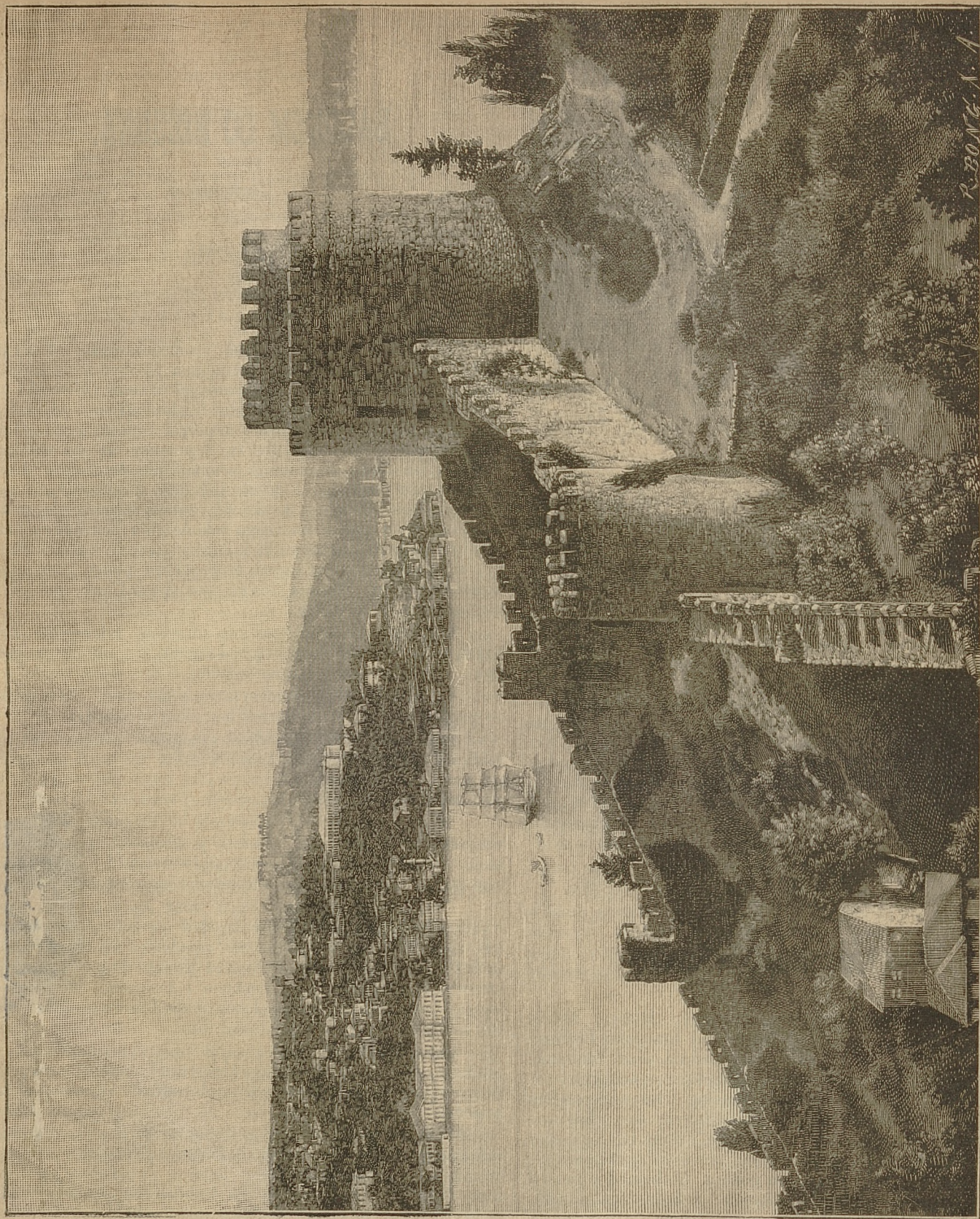
— Trzydziestu, kapitanie.

— Po piętnastu do każdej łodzi! — zawołał znów głos młodzieńczy. — A żyź chłopcy, siadajcie!...

Szybko rzucono się do wykonania rozkazu. Niezadługo dwie łodzie kołysały się już na falach przy okręcie, a pokład zaroił się ludźmi, z których każdy zabierał ze sobą co miał najdroższego, a zarazem najlepszego. Resztę porzucano po drodze śpiesząc gorączkowo ze wsiadaniem.

Przechylony przez żelazną poręcz pokładu, kapitan patrzył na nich i zachęcał do pośpiechu. Rozkazy jego były krótkie i stanowcze jak zawsze, nikt nie śmiał podnieść przeciw nim głosu.

— Jesteśmy blisko o 2,000 mil ang. oddaleni od lądu — napominał jeszcze. — Mając busole trzymajcie się kierunku północno-wschodniego, a najprędzej dobiejecie do wysp portugalskich, francuskich lub też napotkacie jaki okręt. A teraz ruszajcie. W Imię Boże!... rzucił wreszcie za pierwszą łodzią, która napelniona po brzegi czekała tylko tego hasła, gotowa do drogi. W istocie, więcej przeładowaną jak była być nie mogła, brzegi jej bowiem równały się niemal z poziomem wody... Teraz rzucono się do drugiego czołna. Przy świetle pochodni, gorączkowo spuszczone się doń z pokładu, który z każdą chwilą stawał się niższym jakby wspinałomyślnie pomagać chciał uciekającym. Zgiełk tu panował jeszcze większy, bo więcej nagłono do pośpiechu, wreszcie wszyscy już prawie byli na dole, a kapitan wyteżył wzrok przez mgłę chciał się właśnie przekonać o ich umieszczeniu, gdy w tem wydało mu się, że ktoś lekko dotknął jego ramienia. Zdziwiony, odwrócił się śpiesznie i spostrzegł tuż za sobą nieśmiało stojącego wyrostka. Był to chłopiec okrętowy, którego kiedyś jeszcze przed dwoma laty zabrał przez litość z małej wyspy kanadyjskiego archipelagu, gdzie wyrzuciło go morze po rozbiciu się szwedzkiego pasażerskiego parowca, gdy sądził że wszyscy powinni być już w łodzi ściągnął brwi z niezadowoleniem. Na ustach miał już wyrazy surowego napomnienia za opóźnienie się chłopca, lecz ten przerwał mu zdobywając się na niebywałą śmiałość.



WAROWNIA RUMELI-HISSAR

— Kapitanie! — zawołał drżącym dziecięcym jeszcze głosem, lecz dziwnie pewnym. — Kapitanie, zrób mi tę łaskę i wysłuchaj przez chwilę, błagam cię — ciągnął składając ręce jak do modlitwy. — Raz już ocaliłeś mi życie, więc teraz pozwól mi wywdziękzyć ci się za to, teraz na mnie kolej przypada... Ja wiem co chcesz zrobić, ale od czegoż ja tu jestem, ja ci na to nie pozwolę kapitanie... Jam sierotą, biednym, do niczego niezdatnym który na świecie prócz cie-

bie niema nikogo, ale ty ginąć nie możesz, nie powinieneś, tyś taki dobry, rozumny, piękny... O, ty mi zrobisz tę łaskę kapitanie — błagał ze łzami rzucając się do jego kolan, ty nie pozostaniesz tutaj sam, na pastwę morza. Tam, jest jeszcze moje miejsce, ciągnął wskazując ręką na łódź, więc siadaj, spiesz się tylko... Wszak twoje życie droższe jest nad wszystkich nas tutaj... O, spiesz się!...

Drżał cały, zatapiając jasne błękitne źrenice we wzroku

kapitana, jakby wyczytać z nich pragnął sprzyjającą odpowiedź, lecz niestety wzrok ten zaciemniał się coraz bardziej. Chwilkę popatrzył rozrzucony na ciemną główkę pochylonego przed nim chłopięcia, a potem silną dłonią chwycił go za ramię i stalowym głosem który nie znał oporu krzyknął: Siadać!... Chłopiec rzucił mu tęskne spojrzenie i słowa zamarły mu na ustach. Jak automat zwrócił się ku linie, aby stanąć na dnie łodzi. Karność była tu we zwyczaju, kapitan zawołał silnym głosem: „z Bogiem” poczem druga łódź zapełniona ludźmi po brzegi, znikła we mgłę i cieniach nocy...

A na pokładzie, przy świetle dogasających porzuconych pochodni, rysuje się wyraźnie ciemna, niby wykuta z brązu oparta na balustradzie sylwetka kapitana. Statek zaczyna z wolna wykonywać ruch wirowy czarnym kadłubem, a odartym z żagli pozostałym masztem zatacza coraz to większe elipsy. Lecz twarz kapitana jaśnieje przytem dziwną pogodą. Śmierć nie zdaje się go zastraszać. Szerokie czoło straciło nawet ślady zwykłej sobie dumy i surowości, a na ustach błędzi coś nawet, naksztalt uśmiechu. I widocznie!... Wszak i on w ten świąteczny wieczór, dał dowód że całkiem nie zapomniał jeszcze stron swoich i zwyczajów rodzinnych, bo powetował nawet kilkoletnie swe zapomnienie, i on przecież uczynił dzisiaj „coś dobrego”...

* * *

Ranny brzask powoli jakby leniwie rozsnuwał nocne ciemności i gęstą oponę mgły wilgotnej. Niby ptak skrzydlaty rozdierała ona z wolna swe strzępy rozszerzające widok coraz dalszy, coraz czystszy przestrzeń wód i powietrza, aż na koniec rozwały się gdzieś całkiem te opony czarne i szare, jak lustrzana czysta tafia zajaśniała przejrzysta powierzchnia oceanu aż po krawiec horyzontu, a na niebie wybiła się złota tarcza słoneczna w całej glori różowych chmurerek jutrenki, i przejrzała się zalotnie w uspokojonej po długiej walce toni. A dokoła, jak okiem sięgnąć było pusto... tylko na chwiejnej desce podrzucanej w górę przez balwany pasował się jeszcze ze śmiercią dzielny kapitan okrętu. Siły jego były już wyczerpane i lada chwila miały go pochłonać fale... Ale inaczej było zapisane w księdze przeznaczenia. Gdy omdlewający, poleciwszy duszę Bogu, gotów na śmierć, pograćzyć się miał w bezdennej toni, dostrzegł rozbitka zbliżający się okręt... dostrzegł i ocalił go... W rok potem siedział w gronie rodziny w świąteczny wieczór i opowiadał zgromadzonym przygody którym ci przysłuchiwali się ze łą w oku.

V. Cuiro.

Warownia Rumeli-Hissar.

Starożytna turecka warownia Rumeli-Hissar, której szczątki, wznoszące się po dziś dzień nad brzegami Bosforu, przedstawia rycina nasza, wzniesioną została przez Mohameda III-go, ażeby łatwiej zagarnąć Konstantynopol, który też w rok potem przeszedł pod władzę turecką. Daremnie ostatni z greckich cesarzy Konstantyn, dowiedziawszy się o budowie warowni w miejscu stanowiącem niejako bramę Bosforu, słał posłów z przełożeniem, że warownia podobna sprzeciwia się zawartemu niedawno przymierzu pokoju, Mohamed odprawił ich z groźbą i zajął się tem pośpieszniej wzniesieniem murów, które wkrótce gotowe były wyrzucać tysiące kul marmurowych z olbrzymich moździerzy, na każdy okręt grecki pojawiający się na wodach Bosforu. Ku przedszemu wykończeniu warowni sprowadzono rzemieślników z różnych stron świata. Kształt jej według życzenia Mohameda wyrażał szereg liter arabskich, składających imię proroka. Malownicza miejscowość na której wznoszą się szczątki murów Rumeli-Hissaru, była w dawnych czasach widownią przeprawy, przez most rzucony na Bosforze, olbrzymich wojsk Dariusza, wysłanych przeciw Grekom. Tutaj także przeprowadzał się Ksenofont na czele 10,000 Greków powracających z Azji. Tędy Krzyżowcy

ciągnęli do Jerozolimy, a Turcy wpadali do Europy, tedy zaś dziś Europejcy podróżnicy przebywają, aby podziwiać cuda wschodniej przyrody, której brzegi Bosforu są najdoskonalszym obrazem.

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

IV

SZALEŃCY.

Inżynier i jego towarzysze nie tracili czasu. Ford dostarczał zapasów żywności, i narzędzia niezbędne do podróży nadpowietrznej, w czem mu pomagał James, Gromski zaś przygotowywał do drogi aerostat i kłopotał się o to, jak go przewieźć na przylądek Horn i napełnić tam na nowo gazem. Cel wyprawy trzymany był w tajemnicy aż do ostatniej chwili, gdyż Gromski uniknąć pragnął nieodłącznych od rozgłosu nieprzyjemności, których już dość sprowadził nań sam balon. Poczynił nadto kroki dla zabezpieczenia swego wynalazku, na wypadek smutnego zakończenia podróży. Podał prośby o patenty we wszystkich znacniejszych krajach Europy, zostawił w biurku swem szczegółowe plany rozmaitych części aerostatu: jednym słowem postępował tak, jak gdyby nie spodziewał się wrócić.

Ford również regulował swe interesa, jak zwykle przed każdą niebezpieczną wyprawą. James tylko, nie nie posiadając, nie robił żadnych rozporządzeń.

— Najlepiej być samotnym i nic nie mieć, — powtarzał: — przynajmniej można umrzeć bez niczyjej szkody.

Dzielny sternik z zapalem natomiast pomagał inżynierowi i Fordowi: biegł z tym ostatnim po najrozmaitszych sklepach, nosząc paczki z konserwami, napojami, odzieżą i instrumentami. Pragnął jaknajprędzej wyruszyć.

W dwa tygodnie po przybyciu do Chicago, załatwiono wszystkie prawie zakupy. Resztę potrzebnych przedmiotów, między którymi znajdować się miały beczki i balony z kwasem siarczanym i żelazo, postanowiono nabyć w New Yorku.

Dnia 20 Października Ford udał się tam w zamiarze wyszukania parowca, któryby zgodził się zabrać całą wyprawę, i wysadzić ją w sąsiedztwie przylądka Horn, gdzieś na archipelagu Magellana. Ponieważ jednak żaden ze statków, kursujących między New-Yorkiem i Australią, nie mógł się tego podjąć, kapitan wynajął umyślnie parowiec, który miał być gotowym do drogi za dziesięć dni.

Przez ten czas inżynier zajął się przyprowadzeniem do jak najdoskonalszej równowagi aerostatu i zbudowaniem kilku specjalnych przyrządów, mogących oddać znaczne usługi w podróży.

Pomysłowość jego w tym kierunku była w istocie zadziwiająca. Szczególniej podobał się Fordowi powietrzny przyrząd, do mierzenia szybkości własnej balonu, składający się z małego balonika i nawiniętego na kołowrotek sznurka. Tak nazwana przez inżyniera kotwica wodna, była poprostu workiem z nieprzemakalnego, mocnego materiału, przywiązany do liny. Torba ta, po wyrzuceniu jej z łódki w morze, napełniała się wodą, której ciężar utrzymywał na miejscu aerostat. Tym sposobem, w razie przeciwnego wiatru, z łatwością można było zrobić przystanek.

Podług obliczeń Gromskiego, balon, napełniony czystym wodorem, posiadał siłę wzlotu, wynoszącą 3600 kilogramów; siłą tą należało rozporządzić jak najumiejętniej. Większą jej część równoważył ciężar samego aerostatu, wraz z łódką i jej akcesoryami.

Oto spis rozmaitych części balonu i dźwiganych przezeń przedmiotów:

Balon i wewnętrzny balonik	450 kg.
Siatka i sznury, podtrzymujące łódkę	185 —
Łódka z urządzeniem kompletnem	440 —
Ster	45 —
Śruba o trzech skrzydłach	30 —
Transmisya	40 —
Machina	560 —
Generator parowy; wraz z palnikiem, rezerwoa- rem do benzyny i małym piecykiem	470 —
Rozmaite przyrządy i instrumenty naukowe . .	60 —
Trzej podróżni	200 —
Zapasy benzyny, mający wystarczyć na dwanaście godzin	800 —
Woda, potrzebna dla maszyny	50 —
Żywność na 60 dni	200 —
Balast	70 —

Razem . . . 3600 kg.

— Wszystko to bardzo pięknie, — rzekł Ford, kiedy mu inżynier pokazał swe obliczenia; ale nie wiem jeszcze, jak pan będziesz utrzymywał w równowadze balon? Przecie strata 800 kg. benzyny, którą kiedyś spalimy dla utrzymania pary, i ubytek zapasów żywności niebawem uczynią aerostat daleko lżejszym od otaczającego go powietrza: a żeby przywrócić równowagę, trzeba będzie wypuszczać odpowiednią ilość gazu.

— Tak — odparł inżynier; — ale nie sądzę pan, że owa znaczna stosunkowo ilość wodoru zostanie zmarnowaną: zużyjemy ją stopniowo na opalanie generatora. Zauważyłeś pan przecie, że zabieramy tyle tylko benzyny, ile jej wystarczy na dwanaście godzin, podczas gdy powiedział, iż maszyna moja może funkcjonować przez dwadzieścia przeszło. Otóż przez owe 8 godzin będziemy palili wodor. Tym sposobem zdolamy ciągle zachowywać równowagę względem otaczającego powietrza.

Rzeczywiście inżynier obmyślił i przewidział wszystko doskonale. Ford nie był w stanie zrobić najłżejszego zarzutu jego obliczeniom.

Dnia 28 wyprawiono starannie upakowany aerostat do New-Yorku, gdzie czekał już nań parowiec.

Dnia 1-go listopada trzech towarzysze podróży przenieśli się na statek. Postanowiono wyruszyć w 3 dni potem.

Teraz dopiero ogół dowiedział się o przedsięwziętej wyprawie.

Dzienniki z dnia 2-go listopada, a na ich czele „New-York-Herald” i „World” pomieściły na swych szpaltach obszernie artykuły o podróży odważnych żeglarzy z rozmaitemi komentarzami.

Podziwiano szalony projekt, ale nie wrócono mu bynajmniej powodzenia.

O inżynierze i jego towarzyszach mówiono, jak o osądzonych na śmierć niezawodną; w przeddzień wyjazdu mnóstwo osób odwiedziło Gromskiego: byli to po największej części przedsiębiorcy; starali się oni odwieść go od zamiaru puszczania się w niebezpieczną podróż, czyniąc mu równocześnie niesłychanie korzystne propozycje co do sprzedaży wynalazku.

W wieczornym numerze „Herald’a”, Ford przeczytał artykuł, w którym doskonale przedstawiono wszelkiego rodzaju trudności i niebezpieczeństwa, na jakie narażali się nasi bohaterowie.

„Chcieć przelecieć ponad olbrzymim Oceanem Lodowatym i ponad Łądem Południowym, o istnieniu którego nikt na pewno nie wie, czyż to nie zamiar szaleńca? Nie bierzemy bynajmniej za takiego ani pana Gromskiego, ani kapitana Forda, ani towarzyszącego im sternika James’a. Zdaje się nam tylko, że żaden z nich nie zastanowił się ani chwili nad tem, czy podobna podróż jest, choćby do pewnego tylko stopnia możliwą. Inżynier liczy na wiatr północny, wiejący jakby ku biegunowi w wyższych warstwach atmosfery. Ale gdzie

dowody, że prąd ten istnieje? Jest to tylko przypuszczenie nie poparte żadnymi pozytywnymi faktami.

Zresztą, choćby nawet i wiatr podobny istniał, czy zaniósłby on aerostat do samego bieguna? Napewno nie.

Zboczenie z obranego kierunku musiałyby zająć konieczność, a wielkości jego niepodobna w przybliżeniu nawet przewidzieć. A potem? Dajmy na to, że zuchwali żeglarze zdolają nawet dotrzeć do bieguna; ale jak wrócą stamtąd, kiedy balon, jak to twierdzi sam inżynier, może utrzymać gaz tylko przez dwadzieścia parę dni? Zapewne pan Gromski nie liczy z powrotem na prąd zimny południowy, ani na swą maszynę, bo ta funkcjonować jest zdolną tylko przez jedną dobę. Podróżni więc zmuszeni zostaną oczekiwać na przyjazne wiatry, robić liczne i długie przystanki, a tymczasem gaz z balonu ujdzie. Nie braliśmy jeszcze pod uwagę innych nieprzyjajnych okoliczności, jak np. braku wody i żywności, zepsucia się aerostatu, burzy i t. p. Roztrząsając z praktycznego stanowiska przedsięwzięcie pp. Gromskiego i Forda, przychodzimy do nieuniknionego wniosku, że jest ono w zupełności niewykonalnem i nieroztropnem. Wypada nam podziwiać nieustraszoną odwagę tych ludzi, ale zarazem ubolewać nad losem, jaki nierozważnie sobie gotują. Pamiętajmy, że śmiałość graniczy często z zuchwalstwem, a także czasami jest, w gruncie rzeczy, nieprzezornością. Podług nas, wiek jeszcze cały upłynie, nim człowiek zdoła na podobnie kruchym statku jak aerostat, dotrzeć do nieprzystępnego bieguna”.

— Hm, to nie jest wcale zachęcające — mruknął Ford, skończywszy czytać; — że trudności i niebezpieczeństwa grążą nam, o tem wiem aż nadto dobrze, ale cóż z tego? Gdyby nie istniały, nie myślałbym wcale o podróży do bieguna.

— Jak widzę, — rzekł z uśmiechem Gromski — niebezpieczeństwa wabią pana; mam nadzieję, że będzie ich dosyć; nie przypuszczam wszakże, aby zdołały zwrócić nas z drogi, lub żeby były nie do pokonania. Co do mnie, ufam mojemu balonowi.

— A ja sobie i Opatrzności, inżynierze. Liczę także na pana, to się rozumie samo przez się.

— Nie wierzą, a żeby w powietrznym statku można było dotrzeć do bieguna? Nie wierzą? — rzekł James, wtrącając się do rozmowy. — Więc przekonany ich, kapitanie! Przysięgam, że nie cofnę się; prędzej zostanie tam raczej; niech pan o tem pamięta, panie Gromski.

— I ja, — rzekł inżynier, ściskając rękę sternika; — liczę na mnie, że cię nie opuszczę, mój stary.

Umocniwszy się w ten sposób, nasi bohaterowie nie zwlekali z odjazdem: nazajutrz, t. j. dnia 3 listopada 1889 r. parowiec, unoszący na sobie aerostat i jego przyszłych pasażerów, wypłynął z portu nowojorskiego, kierując się ku południowemu krańcowi wielkiego lądu amerykańskiego.

V.

PONAD OCEANEM.

Monotonna i długa podróż morzem wystawiła na ciężką próbę cierpliwość naszych bohaterów.

To też 27-go dnia po opuszczeniu nowojorskiego portu z radością powitano widok skalistych wysepek, otaczających południowy kraniec Ameryki. Parowiec, minąwszy Ziemię Ognistą i wejście do cieśniny Magellana, wszedł pomiędzy małe wysepki skaliste, które tworzą rozległy archipelag Magellana. Kapitan Ford, radząc się doskonałych map, wydanych staraniem towarzysystwa geograficznego, wyszukiwał punktu najdogodniejszego do wysadzenia na ląd wyprawy.

Wreszcie znalazł niewielką wysepkę, zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów odległą od sławnego przylądka Horn, która w zupełności odpowiadała wymaganiom inżyniera.

O drugiej po południu, dnia 2 grudnia 1889 roku zarzuciono kotwicę w ciasnej lecz bezpiecznej бухcie. Z pokładu okrętowego wysepka przedstawiała się dziko; poszarpane, wyniosłe brzegi nie nęciły wcale wzroku. Pomimo to, nasi żeglarze postanowili bezwzględnie udać się na ląd.

Spuszczono szalupę, która wysadziła ich u stóp półokrągłego cypla, skąd łagodna pochyłość prowadziła w głąb wysepki. Przeszedłszy rzadki las karłowatych drzew żelaznych i jodeł, powyrzyskanych przez wiatry morskie, znaleźli się w miniaturowej dolince, która doskonale służyć mogła za stację aeronautyczną; dwa pagórki bowiem zasłaniały ją od wiatrów, a rozległość, około 4 akrów, w zupełności była dostateczną do pomieszczenia magazynów i balonu. Łagodne kontury sąsiednich skał nie groziły niczem wznoszącemu się z dna dolinki statkowi powietrznemu.

Inżynier ucieszył się nadzwyczaj z odkrycia tak dogodnego punktu wyruszenia; obejrzawszy dokładnie dolinkę i naszkicowawszy jej plan w swym notatniku, wdrapał się z towarzyszem na południowy pagórek. Z tego urwiska, panującego nad całą wysepką, można było ogarnąć wzrokiem przestrzeń w kilkonastowiorstowym promieniu.

Kapitan wyjął kieszonkową lunetę i począł rozpatrywać nieskończony szereg postrzępionych dziwnie przez ocean wyseppek, które ciągnęły się daleko na północ, aż do Ziemi Ognistej; były one podobne do czarnych nieregularnych plam, rozsianych na niebieskawo-srebrzystym tle morza. W południowej stronie horyzontu majaczyła ostatnia wyspa archipelagu; poza nią, na lewo i prawo, rozpościerała się czysta, bezgraniczna powierzchnia wody.

— Patrz, inżynierze, Ocean Południowy! — rzekł Ford, podając lunetę Gromskiemu.

— Doskonałe wybrałeś miejsce, kapitanie — odparł tenże; — jesteśmy, jak można najbliżej oceanu.

— Pod 56° 34' szerokości południowej, jeżeli się nie mylę; wypadnie nam przelecieć ponad wodą przynajmniej 1200 kilometrów.

— A potem, kapitanie?
— No, potem będzie już bezpieczniej, gdyż znajdziemy się ponad stałym lądem.

(d. c. n.)

Szarada w niteczce Aryadny.

Powtórnie podana z powodu błędów drukarskich w poprzednim odcinku w numerze 3-cim.

ką	sa	tru	je	ka	te	go
sem	cza	gie	gdy	rzad	co	od
rze	czy	dru	ka	wość	ga	nie
dej	trze	czy	le	kli	bo	to
każ	cie	w al	fa	ni	jest	za
kle	rzy	be	cie	prze	gad	ka
zwy	szy	wa	to	wsze	Pier	*

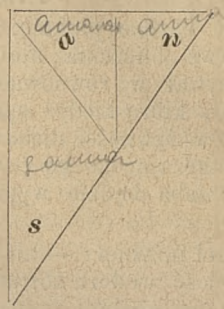
SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Pierwsze, trzecie, to papugi;
Drugie własne, lecz nie twoje!
A czy wiecie czem na świecie
Tym i przyszłym czwarte, trzecie,
Gdy przy winach brak zasługi?
Mówić o tem ja się boję!*

Dla tych, co żyjąc niezgodnie
Popelniają nawet zbrodnie,
Są wskazane prawa sądem...
Wszystko jest ogromnym lądem.

Trójkąt magiczny.



Z trzech w trójkącie zamkniętych głosek, powtórzonych wielokrotnie, ułożyć siedm wyrazów. Ich znaczenie:

1. Roślina w Indjach wschodnich i Brazylii, u nas hodowana w cieplarniach.
2. Jazda po śniegu.
3. Imię kobiety.
4. Rzeka w Galicyi, wpadająca do Wisły.
5. Nazwa człowieka pochodzącego z pewnej krainy niemieckiej. Herb.
6. Zaimek osobowy.
7. Przyimek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Łamigłówki z liter:

Chlebem, solą i wolą — ludzie ludzi niewolą.

Łamigłówki sylabowej:

1. Didona. 2. Owari. 3. Memel. 4. Piramidy. 5. Efez.
6. Dodona. 7. Roer. 8. Ob.

Dom-Pedro — Brazylia.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4 k. 10₇ na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 k. 10 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartałna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Zima, wiersz p. Bronisławę. — Na morzu. — Warownia Rumelii-Hissar (z drzew.) — List z Warszawy. portr. Dr. Fritschego. Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Konkurs kaligrafii. — Sowa p. A. M. (z drzew.) -- Kto więcej kocha mamę? p. Mar. — Wielki wstyd, wiersz p. Ewę Maryę. — Odwaga i zuchwalstwo p. M. P. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.

KONKURS KALIGRAFII.

Najmłodszy czytelnicy nasi tak usilnie dopominają się o konkurs kaligrafii, że dla zadość uczynienia ich żądaniu ogłaszamy go dla nich. Do konkursu należeć mogą dzieci do lat 10; pisać trzeba w dwóch liniach, dla uniknięcia zmęczenia, szkodliwie wpływającego na pismo. Termin nadsyłania prób pisma naznaczamy na 20 marca; najpiękniejsze otrzymają nagrody. Prosimy o dodanie dokładnego adresu oraz imienia, nazwiska i wieku piszącego.

uśpionego zwierzątka, które dusi i zjada na miejscu, potem odzywa się znanem po wsiach hukaniem: hu! hu. Sowy bywają mniejsze i większe, niektórym w głowie wyrastają kępki dłuższych piór, niby uszy sterczące, taką odmianę sów nazywamy puhaczami, a wszystkie sowy w ogóle są ptakami nocnymi. A. M.

Kto więcej kocha mamę?

W dziecinnym pokoju tak było cicho, że możnaby słyszeć przelatującą muszkę; a wcale nie zwykłą było



S O W A.

Oj! nie dobry to ptak dla myszy polnych, szczurów, nawet dla młodych zajęczków i królików. Sowa żywi się niemi, nie darmo ma takie duże pazury, i dziób choć krótki, lecz twardy i mocny. Niemi to szarpie upolowane zwierzątka; poluje zaś na nie w nocy, bo oczy jej okrągłe, otoczone w koło wieńcem drobnych piórek, doskonale rozróżniają przedmioty wśród ciemności. To też w dzień, gdy wszystkie ptaki pracują, lepiąc gniazda, szukając pożywienia, sowa śpi sobie ukryta w jakiej dziupli starego drzewa lub w szczelinach i szparach starych, opuszczonych budynków, a w nocy dopiero wychodzi z kryjówki i szuka żeru. Cicho fruwa nad zaroślami, dopóki nie upatrzy w nich jakiego

to rzeczka; owszem, zazwyczaj mały Lolo bawił się hałaśliwie i wesoło, aż czasem musiała mu mama mówić: „Lolu, baw się ciszej, bo ojcu przeszkadzasz w pracy”.

Dziś Lolo zajęty był bardzo spokojną pracą; zwił nałożony na krzeselko motek włóczki. Włóczka była splątana, ale chłopczyk nadzwyczaj cierpliwie rozplątywał każdy węzelek.

— Ach! co za szczęście, już niedługo koniec — szepnął do siebie, widząc że niewiele już zostało na krzeselku. Gdy ukończył mozolną swą pracę, podskoczył wesoło i wraz z kłębkami pobiegł do pokoju mamy, która właśnie zajęta była rachunkami.

— Czy już czas na lekcję? — zapytała mama.

— Tak matusiu, nawet o dziesięć minut się spóźniłem, ale mameczka gniewać się chyba nie będzie, bo miałem pilną robotę.

— Pilną robotę? Cóż to takiego? Jakże mój synek użył swej godziny rekreacji?

— Calutką godzinę i dziesięć minut użyłem na to — rzekł z tryumfem Lolo, pokazując kłębek błękitnej włóczki.

— Jakto? zwinąłeś ten splątany motek? Któż ci dopomógł? z kąd ci to na myśl przyszło? — pytała mama całując chłopczka.

— Słyszałem jak mama wczoraj mówiła: „Tak mi potrzebna ta jasna włóczka, a nie mam czasu na zwinienie jej”, więc cichutko poszedłem do pokoju mamy, wyjąłem motek z szufladki i zwinąłem podczas rekreacji. Ależ była splątana! A jednak niech mama sama zobaczy: nic nie porwana.

— Ależ widzę i cieszę się bardzo, bo prócz tego że mi włóczka potrzebna, mam dowód cierpliwości mego synka.

— A niech mama zobaczy jak nic nie naciągnięte, nieprawdaż że lekko zwinione? Widzi mama, że pamiętam o tem co mi mama raz powie: nic nie naciągnięte?

— Prawda, wybornie zwinione.

— Ale niech mama pomyśli, calutką godzinę i dziesięć minut zwiniałem; nawet nie chodziłem do stajni, prawda że dobry ze mnie synek?

— O! dobry — rzecze mama, i ucałowała raz jeszcze serdecznie główkę Lola. — Mam dobrego i kochającego synka!

Lolo zaczerwieniony z radości że zasłużył na taką pochwałę mamy, pobiegł po książki aby usiąść do lekcji. Żał mu wprowadzić było straconej rekreacji, ale ile razy przypomniawszy sobie słowa mamy, przestawał jej żałować. Dumny był sam z siebie i myślał z zadowoleniem: „Jednak nie każdy chłopczyk zrobiłby taką wielką ofiarę dla swojej mamy!”

II.

Parę dni po owej rekreacji spędzonej nad motkiem włóczki, mama pozwoliła Lolowi pójść na folwark do córeczki ekonoma i wziąć ją ze sobą na spacer. Było to dziecko bardzo grzeczne i dobre, i mama chętnie pozwoliła synkowi wszystkie rekreacje spędzać z małą Madzią, gdyby nie odległość folwarku, gdzie Lolo nie mógł iść bez służącej.

— Madziu! Madziu! — wołał Lolo wbiegając do mieszkania ekonoma, — co za radość! Ubieraj się prędko w paltocik, pójdziesz na długi spacer ze mną i z mamą!

Madzia zerwała się z okrzykiem radości, ale zaraz posmutniała i odrzekła:

— Nie, ja dziś nie mogę iść na spacer.

— Dlaczego? — zawołał zdziwiony Lolo. — Przecież mama tobie zawsze pozwala, teraz masz rekreację.

— Tak, ale widzisz mam pilną robotę, i to muszę tak ją robić żeby mama nie wiedziała, a mama tylko teraz wyjdzie z domu.

— Cóż to za robota?

— Przynieśli z prania bieliznę tatki, i widzę że taka podarta; jutro ojciec wyjeżdża i potrzebuje wziąć ją z sobą. Mama musiałaby naprawiać późno w nocy, bo w dzień nie ma czasu, a mamę tak to męczy!

— To niema rady — rzekł smutnie Lolo — nie możesz iść na spacer. Ale dlaczegoż nie możesz tego zrobić później? dlaczego chcesz, żeby mama nie wiedziała o tem?

— Bo mama powiada że jestem bladą i że nie powinnam siedzieć nad robotą, a cały wolny czas obracać na bieganie. To też nawet nie przyznam jej się teraz, bo by się zmartwiła; położę bieliznę na swoje miejsce i mama nie będzie wiedziała że była podarta.

— To mama cię za to nawet nie pocałuje? nie pochwali? nie dowie się o tem że rekreację straciłaś?

Madzia spojrzała zdziwiona.

— Naturalnie że nie dowie się, przecież mówiłam ci że nie chcę, żeby się mama zmartwiła tem, że siedzę nad robotą. A mnie nic się złego nie stanie; innym razem będę biegała.

Lolo pożegnał Madzię i odszedł zamyślony.

— Jednak ta Madzia jeszcze lepszą jest córeczką jak ja synkiem, o! daleko lepszą! Kiedy ja zwiniałem tę włóczkę, to nie myślałem o tem, że mama jej potrzebuje, ale o tem że mama się dowie o mej pracy, że mnie pochwali. Gdyby nie to, nie wziąłbym się wcale do tej roboty. Madzia nie myśli wcale o żadnej nagrodzie, i żadnej pochwie; kryje się ze swą zasługą, byle tylko jej mama nie męczyła się pracą.

— Czy jabym tak potrafił? — zapytał się w duchu. — Nie wiem, bo ja zawsze mniej myślałem o mamie, a więcej o sobie; tak lubię się pochwalić — odrzekło mu sumienie. Madzia lepsza! Madzia więcej mamę kocha!

— Otóż i ja postaram się być takim! Gdy co zrobię dobrze, pomyślę: to dla tego, że mama tak lubi, ale się nie pochwalę!

Czy dotrzymał Lolo postanowienia? Oj! ciężko to było, bo miło się chwalić! Ale już kilka razy powstrzymał się od tego; i coraz łatwiej mu to przychodziło, a zawsze na zachętę sobie powtarzał: „Czy ja nie kocham swojej mamy, tak jak Madzia swoją?”

Mar.

WIELKI WSTYD.

Raz chłopcy, mówi bajeczka,

Znaleźli przy drodze

Sznur; stąd krzyk, zawzięta sprzeczka;

Rwą go, szarpia srodze!

To mój! — Nie! Ciągna dwa końce;

Nagle... traf zło wrogil

Pękł sznur! i strony walczące

Padają wśród drogi

Padli! coż im pozostało?

Niechże ktoś odpowie

Wstyd, ból — i zdobyczą całą

Dwa guzy na głowie.

Te walki wspaniałe znaki,

Zysk jedyny właśnie,

Gdy wiodą małe junaki

Nieszlachetne właśnie.

Ewa Marg.

ODWAGA I ZUCHWALSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

Niedługo po naszym przyjeździe, rozpoczęły się sianokosy i my od rana do wieczora byliśmy na łąkach, aż dopóki nie zawieziono do stodoły ostatniego wozu napelnionego świeżem, pachnącem sianem, na którym Julek i ja usadowiliśmy się wygodnie, i w przejeździe gałązki starej brzozy stojące przy samej bramie muskały nas po twarzy. Ach! coś to była za uciecha! W niedzielę chodziliśmy z naszymi opiekunami do kościoła, w Silverhill, siadaliśmy w wąskiej ławce o bardzo wysokich poręczach, a pan Blossom nakładał srebrne okulary, których nigdy nie używał w ciągu tygodnia, otwierał wielką księgę do nabożeństwa i trzymając ją z daleka, przechyliwszy głowę w jedną stronę, czytał modlitwy o wiele wolniej i głośniejsze niż inni ludzie,

O pół mili od Oatland płynęła rzeka Maddon gdzie Julek i ja chodziliśmy łowić ryby. Z wielką uroczystością przygotowywaliśmy się za każdym razem do tak ważnej wyprawy; zbieraliśmy mnóstwo robaków i zakładaliśmy je potem na wędkę. Pani Blossom dawała nam mnóstwo smacznych rzeczy na obiad, i prosiła abyśmy się pilnowali i przypadkiem nie wpadli do wody, a Czarownica zawsze nam towarzyszyła; strzygąc uszami, kiwając ogonem wężąc, bezustannie tropy zajęcy i lisów. Ale niestety, mimo tak pilnych przygotowań nigdy nam się połów nie udał, i jak niepyszni wracaliśmy do domu odnosząc pusty koszyk pani Blossom, która nas pocieszała, a w końcu mówiła: „Nie chodźcie już więcej do rzeki, nic tam nie złapiecie, chyba katar i kaszel, ja przez cały dzień, jak was niema jestem niespokojna; co chwila wyobrażam sobie żeście powpadali do wody i utonęli. Pomyślcie, cobym ja wtedy waszej biednej mamie powiedziała!

W czasie jednej z tych wypraw rybackich, poznaliśmy Janka Booth'a. Było to tak. Od samego rana zarzucaliśmy wędki: ja ani jednej ryby nie złowiłem a mała płotka, która przypadkiem połknęła haczyk Julka, urwała się zanim miał czas wyciągnąć ją z wody. To też byliśmy obaj bardzo zmęczeni i znudzeni i z przyjemnością otworzyliśmy koszyk pani Blossom, tembardziej, że było już z południa i jeść nam się okropnie chciało. Wyszukaliśmy sobie zaciszne miejsce między drzewami, z ładnym widokiem na rzeczkę i las za nią się ciągnący, i wzięliśmy się do wypakowania zapasów. W chwili kiedy Julek klasnął w ręce z radością na widok doskonałej galarety z agrestu, czarownica zaszczekała, usłyszałem szelest za sobą i odwracając głowę, zobaczyłem dwoje oczu błyszczących pomiędzy gałęziami dzikiego bzu.

— Kto tam? — zawołałem, podczas gdy słoik z galaretą wypadł z rąk Julka.

— A wyście co za jedni? — odpowiedział ostry, niemiły głos — i co tu robicie?

Julek był gotów zostawić cały obiad, nawet galaretę i uciekać z całych sił, ale mnie się zańdło jeść chciało, to też zebrałem całą odwagę i odpowiedziałem:

— Jestem Tomasz Carter z Oatlands'u i wolno mi łowić ryby w tem miejscu.

Wtedy gałęzie się rozchyliły, i ku wielkiemu naszemu zdziwieniu wyszedł z poza nich chłopak mało co wyższy odemnie, o ciemnej cygańskiej twarzy, czarnych włosach i w bardzo podartem ubraniu. Z bliska wcale strasznie nie wyglądał, wykrzywił twarz, śmiał się pokazując dwa rzędy białych zębów i był zupełnie podobny do małych włochów, którzy grają na katarynkach po ulicach Londynu.

— Łowicie ryby? — zapytał — a dużo już macie?

— Dziś jeszcze się żadna nie złapała — odpowiedziałem zawstydzony. — Zażdło silny wiatr wieje i ryby nie chcą połykać haczyków.

— Co! doprawdy? nie macie ani jednej — zawołał przewracając pusty koszyk. — No, widać, żeście do niczego.

Zaczęło mnie gniewać to jego zuchwalstwo, zaczerwieniłem się po same uszy i było mi bardzo gorąco; ale on na mnie nie zważał i mówił dalej:

— Dajcie mi wędkę, a ja wam pokażę jak się trzeba brać do tego. Zobaczycie, że mi się uda. Znam całą rzekę jak własną kieszeń. Chodźcie za mną, pokażę wam doskonałe miejsce.

— Dobrze — odpowiedziałem — ale naprzód coś zjemy, a może i ty nam dotrzymasz towarzystwa, jeżeli dotychczas nie jadłeś obiadu.

— Nie jadł obiadu! — powtórzył ze śmiechem, siadając bez dłuższego zapraszania. — Nawet śniadania nie widziałem! Dobrze trafiłem, co? prawda? Taki jestem głodny, że mógłbym całego wołu połknąć odrazu, ale myślałem, że trzeba będzie głód schować do kieszeni; anim się spodziewał, że mi się taka sposobność nadarzy. No, mój mały, nie bój się, ciebie z pewnością nie zjem — powiedział do Julka, który ze strachem patrzył na niespodziewanego gościa. — Wyjmij zapasy z koszyka i dawaj je tutaj.

— Podaj mi koszyk — rzekłem do Julka, wyciągając rękę, bo wcale nie miałem zamiaru oddać go na pastwę naszego towarzysza, który dziś nie jadł śniadania, i z pewnością nie zważałby na nasz głód, byleby swój własny miał czem zaspokoić.

— Mamy chleb, ser, słoninę, galaretę z agrestu i mnóstwo innych doskonałych rzeczy — powiedziałem wyjmując paczki po kolei,

Podzieliłem chleb i słoninę na trzy równe części ale nieznamy chłopak tak się prędko uwinął, a Julek tak był przerażony widząc, jak wszystko odrazu w jego gardle znikało, że nie mógł sam jeść, i oddał mu przynajmniej połowę swego obiadu. Jaś Booth, bo tak się nazywał nasz nowy znajomy niebawem i z tem się uporał.

— Nie macie tu czego do wypicia? — zapytał kiedy już nie było ani śladu zapasów.

— I owszem — odezwał się Julek — mamy butelkę mleka.

— Mleka! — zawołał Jaś ze śmiechem. To wy mleko pijecie? Więc stara Blossomowa nic wam innego nie daje?

— Ale gdzie tam! — zawołałem prędko, żeby nie dać mówić Julkowi — naturalnie dałaby nam co innego gdybyśmy tylko chcieli, ale tutejszy jabłecznik jest szkaradny, a co się tyczy piwa...

— Piwa nam ojciec pić nie pozwolił — wtrącił Julek i zaczerwienił się.

— Ohoho! — zawołał Jaś, wsadził ręce do kieszeni i zaczął świstać przez zęby.

Udałem, że byłem bardzo zajęty nakładaniem przynęty na wędkę, ale w głębi serca gniewałem się na Julka. Po co ta dziwna szczerłość? Co o nas pomyśli sobie ten chłopak? pewnie będzie nas uważał za dzieci. Odtrąciłem niecierpliwie mleko, które mi przyniósł Julek i odburknąłem niegrzecznie:

— Daj mi pokój, nie chce mi się pić. Jaś jednak i tem nie pogardził i z widoczną przyjemnością wypił kilka szklanek.

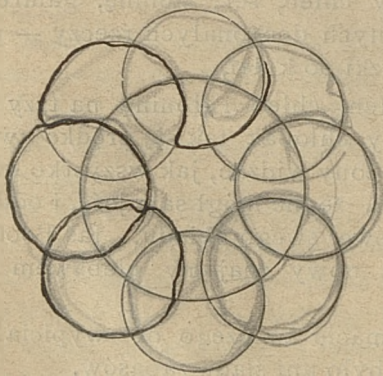
— A teraz przyjrzę się waszym wędkom — powiedział obcierając usta rękawem — no, nie dziwię się żeście ani jednej ryby nie złapali, bo taki ogromny hak mógłby chyba rekin połknąć. — I zaczął zwęzać, zginać haczyki, przydłużył sznurek, a myśmy obaj stali obok niego i patrzyli z uszanowaniem na jego zręczność i doświadczenie. Jedna tylko Czarownica zdawała się niezadowoloną z naszego przyjaciela; nie przestawała go obwąchiwać z niedowierzaniem, mruczała, i pokazywała mu zęby, jak tylko do niej przemówił; nie chciała nawet przyjąć kawałka słoniny z jego ręki. Przez cały ten czas Jaś nie przestawał paplać i opowiadał takie zabawne rzeczy, że nie podobna było się nie śmiać. Choć i widzieliśmy, że to jest chłopak bez żadnego wychowania, nawet Julek zapomniał o niemiłym pierwszym wrażeniu, zadawał mu rozmaite pytania i rozmawiał równie wesoło jak i ja.

(d. c. n.)

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Drugie, pierwsze jest miastem nad Kaspiskim morzem,
Pierwsze, drugie zaś, kędy Atlantyku wody,
Jedna z wysp kilkunastu. Wszystko, z licem hożem,
Takie ma często imię parobczek młody.*



Wzór który powinno się narysować za jednym po-
ciągnięciem ołówka bez odejmowania go od papieru.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Szarady: O — ko.

Zabawy z patyczków:

1. NIWA. 2. TAM. 3. TANI. 4. LINA. 5. TATA. 6. LILIA.
7. LATA. 8. TAKI. 9. FALA. 10. LAKI. 11. LEN.

Skrzynka do listów.

Liścik twój kochany **Papierosiku** wielką nam zrobił przyjemność. Wiedzieliśmy o twojem zmartwieniu z powodu odry i cieszymy się, że ci przyjemność zrobiło czytanie posłanej książki. Obecnie już zapewne wszystko przeminęło i cieszysz się znowu widokiem twych przyjaciół. Życzymy ci całem sercem pomyślnego zdania egzaminu i nie wątpimy, że życzenia nasze spełnione zostaną. Jakżebyśmy radzi byli powitać cię znowu w naszej Redakcyi. Chcemy cieszyć się nadzieją że to niezadługo nastąpi, tymczasem przesyłamy ci serdeczne uściśnienia.

Kochanej **Zorzy** i jej siostrzyczce **Baryteczce** za noworoczne życzenia dziękujemy i wzajemnie im również serdeczne przesyłamy. Cieszymy się że czytanie Wieczorów tej ostatniej sprawia przyjemność.

Kazimierze Z. żądane kalendarze wraz z przesyłką kosztowały rs. 1 kop. 65, na opłatę Wieczorów pozostała reszta rs. 1 kop. 35.

Wszystkim kochanym naszym czytelnikom dziękujemy za życzenia noworoczne i nawzajem takowe przesyłamy. Z przyjemnością odbieramy zawsze serdeczne ich odezwy, i z przyjemnością także patrzymy na pismo tak porządne i kształtne jak to którem skreślił swój liścik **Stefcio M.**

Łamigłówka, którą przysłał nam **Mars**, jest dobra, lecz taką samą drukowaliśmy dopiero co; prosimy o inną.

Widzimy, że dobra nasza znajoma, **Lobelia**, z zajęciem czyta ogłaszane przez nas powieści. Było rzeczą do przewidzenia, iż **Dolores** zrozumie nareszcie, kto istotnie pragnął jej dobra i ocenić to potrafi. Co zaś do **Józia**... my jedni wiemy, ile z jego odszukaniem było kłopotu! Za pamięć o zdrowiu naszym dziękujemy.

Kochane **Rumiane Jabłuszko**! Łamigłówka, którąśmy otrzymali nie nadaje się do druku.

Cicha Fala nie postawiła dość ściśle pytania i dlatego nie możemy dać na nie ściślej odpowiedzi. Ciemność na danym punkcie **O. W.** zależną jest od godziny, którą miałaś na myśli.

Serdecznie się cieszymy wiadomością że biednej **Figlarce**, której nieszczęściu szczerze współczujemy, dotrzymuje towarzystwa **Jagódka z pod Arkadyi**. Ale zato **Stowiczkowski z pod Łubiany** i **Pieszczotłce** mamy musiało brakować siostrzyczki?

Fiołek parmeński i **Konwalia** (może **Konwalia ogrodowa**, bo już mamy parę) z łatwością dostąpią „pociechy na starość”. Redakcja nie tylko „nie pogardza” korespondencyą z czytelnikami, lecz owszem, szczerze jest rada wymianie myśli, bo tym tylko sposobem zadzierzga się ów serdeczny węzeł, który nas wszystkich łączy w jedną, uczuciem spójną rodzinę.

Czy można na przykład uważać za obcą ciębie **Niezabudko z nad Chomoru**? Do najszczerzych słów liczymy twoje, w których jest wszystko, co trzeba — są więc i wymowne i udatne.

Muszelka z nad Wieprza nadsyłając łamigłówekę, zapomniała o innych warunkach korespondencyi.

W. Kon. Dziewczynki, które z oszczędności własnych, zebranych odmówieniem sobie zabawek i łakoci, postanowiły trzymać Wieczory, muszą mieć w domu piękne przykłady zamiłowania książki i powinszować tylko możemy Szau.Pani, że potrafiły z nich skorzystać.

Teod. Skor. Szan. P. może być spokojnym, pismo nasze zupełnie jest stosownem dla dziewczynek w wieku pańskiej córeczki.

Przykro nam, że nowa znajoma **Skrzętna pszczołka** musi zastosować do siebie odpowiedź daną Rum. Jabłuszku.